



GLENN GOULD – KULT DŹWIĘKU

Wielu spośród znanych muzyków parało się działalnością artystyczną, z którą nie byli utożsamiani powszechnie. Pianista Józef Hofmann z zamiłowaniem oddawał się też komponowaniu (opatentował także kilkadziesiąt wynalazków, z żadną ze sztuk pięknych bynajmniej nie związanych – np. zderzak i wycieraczka samochodowa, spinacz do papieru). Podobnie jak inny geniusz fortepianu – Ignacy Friedman. Ignacy Jan Paderewski czy Sergiusz Rachmaninow to przykłady oczywiste. Dyrygenci Bruno Walter czy Dmitri Mitropoulos byli także znakomitymi pianistami. Wielki Grek zastąpił niedysponowaną solistkę w III Koncercie Prokofiewa, którym dyrygował: w siedemnaście godzin ucząc się partii fortepianu. Inny genialny dyrygent Fritz Reiner w budapesztańskim Konserwatorium na swoim dyplomie z fortepianu (w klasie Béli Bartóka!) grał dwie Sonaty: bagatela! – op. 111 Beethovena i h-moll Liszta. Kilkunastoletni Arturo Benedetti Michelangeli poza fortepianem ukończył także konserwatoryjny kurs w klasach kompozycji, dyrygentury i skrzypiec (!). Po czym przez pięć lat studiował medycynę (!!). Wielki polski pianista Andrzej Czajkowski – w wieku piętnastu lat laureat Grand Prix Konserwatorium Paryskiego (sto lat od niego starszy Henryk Wieniawski był laureatem tej samej nagrody w wieku lat jedenastu) - zostawił po sobie szereg wybitnych, wstrząsających partytur, dając świadectwo swojej najwyższej próby maestrii kompozytorskiej.

W tym niezwykłym gronie miejsce specjalne zajmuje kanadyjski pianista Glenn Gould. No właśnie: pianista? Czy pianista - jedynie? Owszem, w roku 1944 niespełna dwunastoletni robi dyplom w Królewskim Konserwatorium w Toronto. Ale już rok później składa dyplomy w klasach teorii i organów. Przez pierwsze młodzieńcze lata występuje także jako organista (Bach, Dupuis, Mendelssohn, Mozart, MacDowell). Z instrumentem tym na dobre nie rozstaje się nigdy. Głęboko tkwi on w muzycznej mentalności Goulda. Muzyk sam przyznaje, że, kiedy słucha orkiestrowej muzyki Richarda Straussa, jego nogi mimowolnie biegają po wyimaginowanej nożnej klawiaturze tropem straussowskich wiolonczel i kontrabasów. Zimą roku 1962 na płytach CBS rejestruje cześć kontrapunktów Bachowskiej „Kunst der Fuge”... Podobnie jest z klawesynem. Czystości jego brzmienia nie potrafi się oprzeć. Rejestruje na taśmie filmowej kilka Preludiów i Fug Bacha, a dla CBS – cztery spośród Suit Händla. Dyryguje. Mozartem, Mahlerem, Schubertem, Wagnerem, Bachem, Beethovenem. Jego śmierć (dziewięć dni po pięćdziesiątych urodzinach) przerywa planowaną podróż w multum partytur, których udźwiękawianie ma mu zastąpić nieobecność klawiatury, odtąd wzgardzonej.

Gould jest także muzycznym pisarzem, autorem wielu audycji radiowych i telewizyjnych, filozofem, błyskotliwym causeurem, kpiarzem, prowokatorem. Ale przede wszystkim mistykiem i humanistą. „Celem sztuki nie jest spowodowanie chwilowego wydzielania się adrenaliny, ale stopniowe budowanie, na przestrzeni całego życia, stanu oczarowania i wewnętrznego spokoju (...) Sztuka znajduje swe usprawiedliwienie w wewnętrznym spalaniu, które rozżarza serce człowieka, a nie w swych publicznych, powierzchownych, zewnętrznych manifestacjach”.

Jako wykonawca Gould był zaprzeczeniem sztuki pretensjonalnie publicystycznej, szepcząc ciepło i serdecznie do ucha każdego nas, a nie krzycząc na tłum żądny jarmarcznej atrakcji tam, gdzie

prowadzi się rozmowy istotne. Był zaprzeczeniem gadatliwości estradowych poskramiaczy ciszy, bez której przecież nie urodzi się żaden treściwy dźwięk. Zaprzeczeniem zrakowaciałego akademizmu, który od dziesięcioleci toczy muzyczny świat, ze sztuki czyniąc wyjałowioną z ekspresji atrapę nauki - przez bezimiennych przekazywaną bezimiennym. Był zaprzeczeniem udokumentowanego „dowodami” doktrynerstwa, któremu obce jest poszukiwanie nieodkrytego, nieznanego, nieprzeczuwalnego – przeznaczenie wszelkiej sztuki. Był zaprzeczeniem świadczenia szczególnie powszechnego rodzaju usług schlebiana powszednim gustom, proponując pomysły śmiałe, trudne, prowokacyjne, kategoryczne, a nawet pozornie straceńcze, które po latach jakże zaskakująco często okazywały się światłem prowadzącym ku ziemi obiecanej – nas, ślepych. Obok Marilyn Monroe, Jamesa Deana, Andy’ego Warchola czy Elvisa Presleya (u nas Zbyszka Cybulskiego) był ikoną drugiej połowy XX stulecia, która w demokratycznej dobie wyzwalania się z okowów mieszczańskich stereotypów fascynowała zniewalającą osobowością. Był muzycznym demiurgiem, który w soczewce swego geniuszu zdołał skupić średniowieczne proportio et claritas, renesansową uciechę eksploracji ziemi dziewiczej, ekstatyczne zapamiętanie ukaranego za swą zuchwałość Ikara, romantyczną radość improwizacji, niosącej energię czystej niewymuszonej ekspresji wadzącej się z zastygłymi matrycami norm, atawistyczne lęki ery atomowej, introwertyczne zanurzenie w bezkresie własnego mikrokosmosu i równie odważne wyzwanie tych spośród sukcesorów tradycji, którzy za pozorami jej służenia zawsze będą pragnęli ukryć grzech sprzeniewierzenia się trudowi niesienia krzyża człowieka współczesnego. Był człowiekiem głębokiej, żarliwej wiary, który nigdy nie rościł sobie pretensji do udzielania prostych odpowiedzi, ale zawsze sugerował nam szukanie rozwiązań na miarę złożoności tego świata. Należał do tych „błogosławionych, którzy wątpią”. Ale i tych, którym organicznie obce jest ostateczne zwątpienie. Był osobliwością, której formą kontaktu z otaczającym go światem był dźwięk pod jego najprzeróżniejszymi, często przez niego prowokowanymi postaciami. Był, bo Gould go nie szukał i w rezultacie poszukiwań znalazł. On mu został dany. „Był szaleńcem zdrowszym od większości ludzi” – jak pięknie skreślił jego rysunek Stefan Rieger, autor rewelacyjnej, w roku 1998 nominowanej do Nagrody Literackiej Nike, książki „Glenn Gould czyli sztuka fugi”.

A jaki był jako kompozytor? Sam uważał, że napisał dziesiątki utworów, by kiedy indziej z rozbrajającą szczerością wyznać, że żaden z jego utworów nie ma więcej niż jedną stronę. Można podejrzewać, że Glenn Gould miał duszę i potencjał wielkiego dramaturga, któremu wizje niezwykle intrygujących fabuł spędzały z powiek sen. Natomiast jego działania determinowała wilcza natura, ciągnąca go do lasu pełnego najbardziej fantastycznych postaci z sennego, bo niejawnego świata już stworzonego sprawczą mocą innych twórców. Tych wielkich - z przeszłości. I tych Gouldowi współczesnych – stylistycznie lub dosłownie (bo nie unikał grania muzyki kompozytorów także i od niego młodszych). Fascynowała go dodekafonia, czemu wyraz dał w drobniagach fortepianowych i Sonacie fagotowej. Madrygały i Fuga odsyłają nas do dźwiękowego świata baroku (w Fudze zauważamy nawet błyszczący bachowską łuską fragment II Koncertu brandenburskiego). Jedyne Kwartet smyczkowy, jedyne opus: 1 – zdaje się wypowiedzią Glenna Goulda bardziej osobistą. Bo, mimo iż cały zanurzony w młodym Schönbergu, to już nie fascynacja, ale korny hołd złożony mistrzowi, którego twórczość była dla kanadyjskiego muzyka obiektem niemal kultu. Wszak to nikt inny, jak Yehudi Menuhin miał powiedzieć, że o twórczości wielkiego wiedeńczyka Gould zdaje się wiedzieć wszystko. Poza tym ów Kwartet jest w f-moll, która wg słów samego autora najlepiej oddaje jego osobowość: „... coś pomiędzy zawilnością a stałością, między prawością a zmysłowością, między szarością a barwnością... słowem: coś pośredniego”.

Purytanin. Mizantrop. Introwertyk. Klerk. 'Fob'. 25 września tego roku skończyłby osiemdziesiąt lat. W znalezionych po jego śmierci papierach 45-letni Glenn Gould określał się jako indywiduum społecznie nie do przyjęcia, maksymalnie ekstatycznego poszukiwacza towarzystwa nocnego motyla w celu nieustannego krążenia wokół świecy. Sir Yehudi Menuhin: „Jeszcze wiele miłości musi się nałożyć na wiele czasu, żeby należycie został doceniony geniusz Glenna Goulda”. Czy trzydzieści lat, które 4 października miną od jego śmierci, to wiele czasu wypełnionego miłością? Czy należyte docenienie takiej osobliwości może wyjść poza krąg naturalnych adresatów gouldowskiego przesłania o łączeniu się w samotności, która jest łaską? Jak szeroki jest ten krąg? I ilu z nas łaska ta nie omija? („Samotności! Jakaś ty przeludniona”. St. Jerzy Lec.) Jak często nie jest ona darem - ciężąc brzemieniem i piętnem autodestrukcji po drodze ślepej i jednokierunkowej? Czy gombrowiczowskiemu pojedynczemu człowiekowi należy się w dobie iluminacji paroksyzmów kultury dekapitującego się golema masy - docenienie czy zatracenie? A bożek Sieci? Czy czas nam daje, czy zabiera: nas nam samym; duchowość - krzewi, czy wyjaławia; „rozzarza nasze serca”, czy daje łatwą okazję do „publicznych manifestacji”; mami eskapizmem ludycznego dialogu adrenalin, czy chroni przed traumą samospalającego się monologu? Jak - w tej radośnie reprodukcją się ilości – jakość zachowa wartość? Jak pożądliva wszechwyprzedaż wpłynie na nasz stan posiadania pryncypiów, potrzebę rozmów istotnych, refleksji? Wreszcie: co z gouldowską łaską samotności, łaską wykorzystania okazji do nieprzegapienia samego siebie w coraz dotkliwiej otaczającym nas szumie tłumu? Czy to jedynie głos wołającego na ludzkiej puszczy i błyskającego diogenesowską latarnią? A może molekula wiary, wiary o atomowej mocy sprawczej? Gould wierzył, że kiedyś wszyscy będziemy artystami, a nasze życie będzie sztuką. Ponownie chciałoby się rzec za Lecem: „Człowiek w historii ludzkości.”

Maciej Grzybowski
(wrzesień 2012)